Cena 15 zł.

RÓZGI BIJĄ CO TYDZIEŃ

Rok II 22 czerwca 1947 r. Nr 26 (46)

W związku z tradycyjną uroczystością puszczania wianków i akcją antyspekulacyjną



Rys. KAROL BARANIECKI

WIANKI

LUDWIK JERZY KERN

DLACZEGO?

Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?
Ach, chciałbym nareszcie wiedzieć,
dlaczego pod względem tego
mnie się właściwie nie wiedzie?

Dlaczego u mnie co rano
tak zwana kieszeń jest pusta,
mimo, że żyję w myśl planów,
w myśl okólników i ustaw?

Dlaczego, mimo, że żyję
w myśl rozporządzeń i wezwań,
zły los mnie po głowie bije
i dola trapi wciąż mnie zła?

Dlaczego muszę piechotą,
gdy inni na przykład autami?
Dlaczego en deux z tęsknotą,
gdy inni en deux z szansami?

Dlaczego muszę na kartki,
gdy inni mogą bez kartek?
Dlaczego im ten tak wartki,
a mnie to życie uparte?

Dlaczego im szampan i wina,
a mnie tylko łezka w oku?
Dlaczego dla nich kryminał,
a dla mnie gwiazdy i spokój?



Rys. Tadeusz Ulatowski

ILUZJONISTA

STEFAN STEFAŃSKI

Rózne nasze dzienne sprawy

„Redakcje warszawskich dzienników postanowiły na podstawie wzajemnego porozumienia, nie ogłaszać repertuaru kin, na skutek niewłaściwego stosunku warszawskiego oddziału „Filmu Polskiego" do prasy stołecznej".

Ponieważ stosunek łódzkiego oddziału „Filmu Polskiego" do tutejszych t. zw. organów opinii przedstawia się nieco lepiej, możemy sobie pozwolić — nawet na coś w rodzaju recenzji. Dotyczy to filmu, który oglądaliśmy ostatnio na pokazie zamkniętym, a który nosi jeden tytuł amerykański: „So proudly we heil" oraz dwa polskie: „Bohaterki Pacyfiku" i „Tę którym składamy hołd".

„Hołd składamy" — jak to się mówi w podobnych wypadkach — „dawno niewidzianej inteligencji i subtelnej Claudette Colbert", „łobuzerskiej ex-partnerce Chaplina, Paulette Goddard", „tragicznej, nie przystępnej Weronice Lake" tudzież proletariatowi Hllywoodu — za interesujący udział w ostatniej wojnie na frontach Dalekiego Wschodu.

Film jest z tezą. Ciężkie przeżycia sanitariuszek amerykańskich, którym wojna przeszkadza w niesieniu miłości różnym co przystojniejszym i bardziej wysportowanym bliźnim, barbarzyńska akcja wojsk syna nieba, cesarza Hiro-Hitlera, niszczących kosztowne makiety Bataanu i Corregidoru, wstrząsająca sercem każdego businessmana scena palenia (przy ewakuacji) paczek, wyobrażających dolary — służą szlachetnemu celowi propagandowemu: nigdy więcej wojny! Główni bohaterzy filmu wypowiadają to hasło zupełnie wyraźnie: „gdyby ktoś jeszcze raz próbował rozpętać piekło nowej wojny, podniesie się przeciw niemu cała armia poległych"; „ta wojna jest po to, aby po niej świat stał się lepszy i doskonalszy"; „ofiara krwi nie może pójść marne" itd. w podobnym rodzaju.

Kinomani, zwłaszcza wschodnio-europejscy, którzy przeżyli ciut, ciut więcej, niż akcję na Bataanie, Mindanao czy Corregidorze — dadzą się bez większych trudności pozyskać dla idei filmu. Inaczej rzecz się przedstawia w kraju, który „So prudly we heil" wyprodukował. Propagandowy cel filmu zawodzi wobec prpagandy producentów imperializmu, którzy przy pomocy gestów bynajmniej nie fotogenicznych nie „składają hołdu" ofiarom wojny, lecz obrażają ich pamięć.

Przydałoby się tedy może urządzić „pokaz zamknięty" w Białym Domu — dla prez. Trumana, w Senacie — dla p. p. Tafta, Boraha, Vanderberga i w pałacu cesarskim w Tokio — dla gen. Mac Arthura, b. głównodowodzącego amerykańskiego frontu na Dalekim Wschodzie, świadka masakry na Bataanie i Corregidorze.

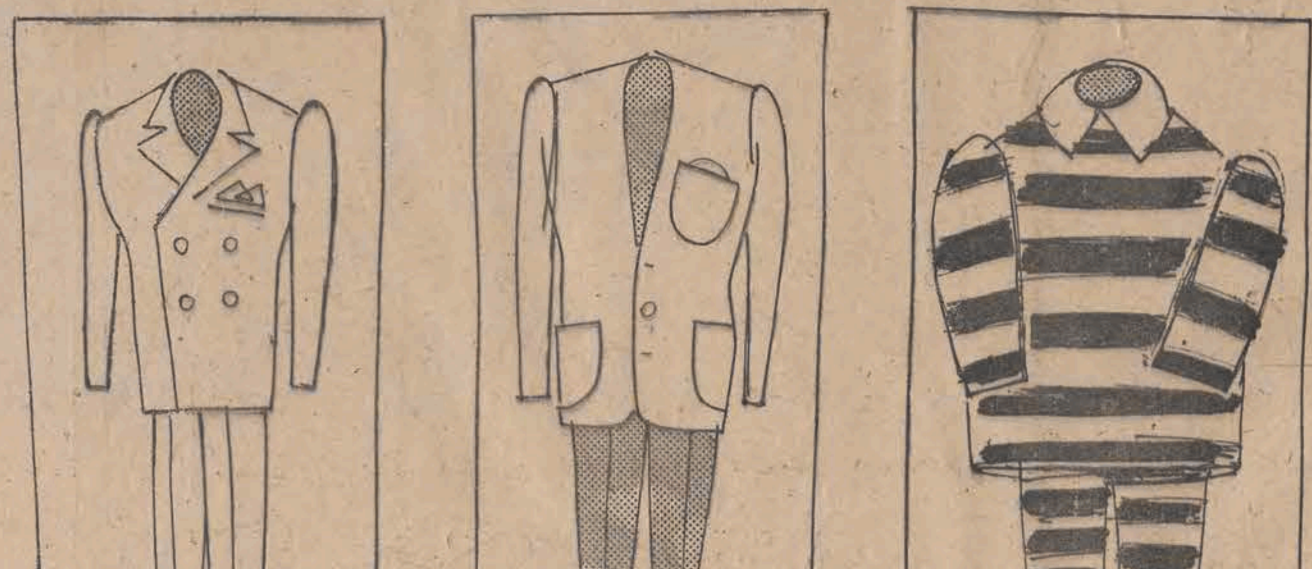
Jedno z pism warszawskich poświęca stale stały odcinek nieboszczykowi Ossowieckiemu.

„Fenomen" — piszą. Miał oczy, które wszystko widzą opanował świat ducha tudzież wizje przyszłści, a kiedy położył rękę na staniku pani Glas — stał się cud (nie, doprawdy nic nie przyzwoitego: po prostu znalazł złotą broszkę, bardzo lekką, antyk).

Niezwykłe uzdlonienia inż. Ossowieckiego, jego dar widzenia rzeczy i spraw ukrytych i odległych, talent dczytywania cudzych myśli — wywołują w nas westchnienie: ach, czemuż ten jasnowidz nie żyje!

Przydałby się bardzo w dzisiejszej diablo zagmatwanej polityce atomowej tudzież dyplomacji,

Z rynku włókienniczego



Rys. Karol Baraniecki

EDWARD KARŁOWICZ

POPULARNOŚĆ

(List z emigracji)

Ilustr. STANISŁAW CIELOCH

Drogi Janie Nepomucenie!

Pielgrzymstwo nasze ciężka rzecz, ale cóż robić: trzeba czekać i trwać. Tylko, że los, psiakość, ciągle figle płata. Ot, np. miałem obiecaną posadę ambasadora w Wenezueli, przygotowałem się już nawet do podróży, kiedy nagle Opaczność (tak właśnie — Opaczność) powołała do większości naszego nieodżałowanego Raczkiewicza. Oczywiście, posadę diabli wzięli i w ogóle niewiadomo, od kogo teraz mój wyjazd zależy: od Zaleskiego czy Arciszewskiego. Zanim jeden z nich wyciągnie kopyta, a drugi gałkę prezydenta, zamieszkuję w Paryżu. Miasto, ow-



szem, europejskie, kultura wysoka; nawet policjanci, proszę ciebie, parle franse. Zatrzymałem się u Wicka i żeby nie marnować czasu, interesuje się tutejszym gen. de Gaulle, który posiada — jak mówią — popularność naszego ś. p. Dziedka.

Wczoraj rano Wicek przegląda gazety i powiada:

— Wiesz co, dziś o dwunastej będzie przemawiał de Gaulle. Na stadionie... — tu wymienił nazwę trudną do powtórzenia.

— De Gaulle? — krzyknąłem z ardością — Idziemy, zobaczymy Wodza, ty znasz francuski, będziesz mi tłumaczył..

Ale Wicek nie chciał: Oświadczył, że będzie tłok, a mowy można i tak i tak słuchać przez radio. Więc poszedłem sam.

— Stadion? Stadion? — zapytałem na przystanku dając gestam do zrozumienia, że pytam o drogę. Jakiś facet skinął potakująco głową i zaczął coś parować po francusku. To mi wystarczyło. Bez namysłu wsiadłem do tramwaju i ruszyliśmy.

Tramwaj napełniał się bardzo szybko. Na którymś przystanku wsiadło dwóch rozkrzyczanych chłopców z trójkolorowymi chorągiewkami w rękach. To mnie upewniło, że jadę we właściwym kierunku. Wreszcie na jakimś przystanku wszystko wyniosło się i popędziło ulicą. Ja, oczywiście, pobiegłem za nimi, ale po kilkudziesięciu metrach stwierdziłem, że dalej przecisnąć się nie sposób: z jednej strony sznur samochodów, z drugiej — rozfalowane morze głów, za którymi widać przybrany flagami parkan stadionu. W pierwszej chwili myślałem, że mnie wzrok myli, ale po chwili nie miałem już żadnych wątpliwości: obok sztandarów francuskich kołysały się na wietrze brytyjskie flagi. Dobra nasza — pomyślałem — jeśli generał ma poparcie Anglii, to napewno da sobie radę z tym całym folksfrontem.

W międzyczasie ciżba zepchnęła mnie do drzew, stojących na końcu ulicy. Ponieważ dostać się na stadion nie miałem możności, przeto starym zwyczajem wlazłem na drzewo, ryzykując podarcie nowego angielskiego blezera; ale i z gałęzi, na której się usadowiłem, nie widziałem nic, oprócz pleców najwyższego rzędu ludzi na trybunie. W tej chwili zaległa wszędzie cisza, ze stadionu dobiegły mnie wyraźnie dźwięki hymnu angielskiego. Ze wzruszenia o mało nie zleciałem z drzewa. Po chwili rozległa się Marsylianka. Tłum słuchał w skupieniu, a ja bezskutecznie próbowałem oprzeć nogę na niższej gałęzi. Udało mi się to na koniec, i w tejże chwili ze stadionu dobiegł mnie potężny okrzyk i oklaski.

— Aha — pomyślałem — to napewno de Gaulle ukazał się na trybunie.

Wkrótce nastąpiła cisza, przerywana tylko od czasu do czasu oklaskami i okrzykami, których treści, niestety; nie rozumiałem. W pewnej chwili okrzyk zaczął narastać w istną burzę i wreszcie z dziesiątek tysięcy gardzieli wydarł się przeciągły okrzyk:

— Gaulle!!!

Uwielbienie narodu dla ukochanego Wodza dosięgło widać zenitu. Mnie tymczasem ścierpła ostatecznie noga i czułem, że w każdej chwili mogę zlecieć z drzewa. Siedziałem jednak wytrwale dalej, a ze stadionu dochodziły spontaniczne okrzyki, przerywane minutami skupienia i ciszy.

Po godzinie może, kiedy nóg już zupełnie nie czułem i zaczęła mi omdlewać prawa ręka, cały stadion zatrząsł się od nowego potężnego okrzyku: Gaulle!!! Czułem, że dłużej nie wytrzymam, lecz sił mi dodawał szacunek dla Wodza, który cieszy się taką popularnością. Ostatnim wysiłkiem udało mi się oprzeć bezwładne nogi na gałęzi i w tej chwili powietrze rozdarł po raz trzeci potężny okrzyk: Gaulle!!! Czułem, że cały taję z podziwu dla Wodza, który potrafił tak natchnąć tłumy.

Po jeszcze kilkunastu minutach zabrzmiały ponowne wiwaty. Ludzie zaczęli schodzić z trybun i przez bramy wyjściwe runęły na ulice tłumy. Obcy ludzie padali sobie w objęcia, ściskali sobie ręce. Nie mogłem już wytrzymać i zleciałem, gniotąc dotkliwie kilka kapeluszy. Uprzejmi Francuzi z uśmiechem postawili mnie na nogi, mimo to, aby utrzymać równowagę, musiałem się oprzeć o drzewo.

Środkiem ulicy wyjeżdżały auta.

— Wspaniale — pomyślałem sobie zobaczę nareszcie generała.

Tymczasem wciąż jeszcze przejeżdżały auta, w niektórych siedzieli wojskowi, ale charakterystycznej sylwetki generała wśród nich nie było.

Poczułem coś niedobrego. Gapię się dookoła. Aha, jakiś wojskowy z naszywką „Poland". Łapię go za rękę.



— Panie — pytam — co z Gaulle'm?

— W bramce — roześmiał się wojskowy—Trzy gole dla Racing Clubu, a dwa dla Arsenal'u. Odrazu wiedziałem, że Francuzi Anglikom wkleją...

No, i co ty na to wszystko? Krew człowieka zalewa na figle, które los nam sprawia.

Całuję Cię serdecznie

Twój
Eustachy Dąbek,

Pierwszy kandydat na placówkę dyplomatyczna w Wenezueli



Za perlony



Zaperlony

Rys. Stanisław Cieloch

JAN HUSZCZA

Konkurencja

Ignorantami należy nazwać tych, którzy zazdroszczą poetom lirycznym, urządzającym wieczory autorskie. Na jaką frekwencję może bowiem liczyć taki poeta? Wiadomo: przyjdą znajomi (od 5—10 osób), przyjdzie pewien dziobaty nikomu nieznany z nazwiska właściciel sklepu ze sztucznymi szczękami dla królików, przyjdzie zięć prof. Pedrasia (zawsze przychodzi; wartoby nawet szczegółowiej zastanowić się nad pobudkami jakie go sprowadzają), znajdzie się wreszcie na sali klubu literackiego kilku zdezorientowanych przyjezdnych z prowincji — i to wszystko. A może być i gorzej! To też trzeba specjalnych zabiegów, żeby było nie gorzej a nawet lepiej. Zabiegi jednak zawsze zechce utrącić czuwająca, podstępna konkurencja.

W interesującym nas wypadku znakomitemu Fiejce stale bruździł niemniej znakomity liryk Jamczyk. Fiejko zmobilizuje dajmy na to, wszystkie możliwości, żeby sobie zapewnić przyzwoitą frekwencję, — Jamczyk użyje całe j swej przebiegłości, aby starania Fiejki spełzły na panewce.

Niestety, stan ten trwał od dłuższego już czasu i bez specjalnego wysiłku pamięci można się powołać na cały szereg potwierdzających przykładów, biorąc pod uwagę choćby ostatnich kilka miesięcy.

Ogłaszając swój kolejny wieczór, Fiejko wpadł na pomysł i porozumiał się z komendantem zaprzyjaźnionego oddziału straży pożarnej. Zaprzyjaźniony oddział zjawił się na sali przebrany za młodzież akademicką, by w czasie wieczoru potrząsać srebrnymi dzwoneczkami, za co zgóry otrzymał po kwaterce pomarańczówki na głowę. Na tych zaś, co zgodzili się wywoływać autora z prośbą o dodatkową recytację, czekały także torebki z orzechami włoskimi (jak powszechnie wiadomo, ulubiony przysmak członków straży pożarnej!)

Ale zanim Fiejko zdążył przeczytać swój pierwszy utwór, na salę wpadł dyżurny strażak z okrzykiem: pożar! Oddział zapominając o dzwoneczkach, usłuchał głosu obowiązku i w te pędy wybiegł z klubu.

Płonął suto oblany benzyna kiosk gazetowy.

Należy przytym zaznaczyć, iż kiosk poddawał się niszczącemu działaniu ognia dość łatwo, jako że nie było w nim tamtej niedzieli ani „Echa wolności“ ani miesięcznika „Mowa wiązana“, ani tygodnika „Czynów stal“, czyli pism z reguły zawierających znaczny odsetek t.zw. wody.

Prywatny wywiad Fiejki stwierdził, iż pożar niewątpliwie został spowodowany przez konkurenta. Oczywiście, można było pójść do odpowiedniego urzędu i uciec się do metody denuncjacji. Ale Fiejko lubił grę fair i tylko zaciął wargi, monologując: — Czekajże, cholero, już ja cię urządzę! Spróbuj jeno zapowiedzieć swój wieczór autorski...

Niedługo na to czekał. Jamczyk bowiem nie wytrzymał i zapowiedział. Na mieście pojawiły się kolorowe afisze zapewniające m. in., iż „sala dobrze ogrzana“.

W dzisiejszych, miernie raczej opalanych czasach, to pociąga: każdy chętnie spędzi, tolerując nawet wiersze, dwie godziny w rozmarzającym cieple. Tymbardziej, że — chociaż to był koniec marca — od ciemnej plamy lasu, pożyłkowanej srebrnymi pniami brzóz, zanosiło zdecydowanie ostrym chłodem, pod nogami zaś głucho odzywała się gruda.

Fiejko, po paru męczących nocach, nie znalazł innego wyjścia jak wprowadzenie w błąd palacza z kotłowni centralnego ogrzewania. W odpowiednim momencie żwawo zbiegł na dół, nawiązał z wąsalem przyjazną rozmowę na temat ostatnich eksperymentów świata naukowego, dotyczących hodowli sztucznego papieru, wreszcie wtrącił: — A w niedzielę to możecie przyjacielu, nie przychodzić; w klubie nie będzie żadnych imprez, piece zgasicie i odpoczniecie...

Mało tego! Poznając z fioletowego nosa istotne zamiłowania wąsala, wcisnął mu do ręki 1000 złotych ze słowami: — A to na wódkę!

Dzięki temu wąsal — człowiek w pewnych wypadkach gorliwy ponad miarę — już zrana w sobotę opuścił swój odpowiedzialny posterunek. To też w niedzielę temperatura w klubie literackim nasuwała zupełnie plastyczny obraz sytuacji, właściwej okolicom, którym przyświeca wspaniała grająca kolorami tęczy zorza polarna.

Z tego powodu dalszy bieg wypadków z łatwością da się streścić w jednym, nawet niezbyt udolnym zdaniu. Oto ono: „Powiedzieć, że wieczór Jamczykowi się nie nie udał, to stanowczo zbyt mało — należy jeszcze dodać, że on sam ledwie uszedł z życiem przed zawiedzionymi gośćmi“.

W kilka tygodni potym triumfujący Fiejko znowu uroczyście zapowiedział swój występ. Nie wierzył bowiem, żeby pomysłowość Jamczyka i tym razem znalazła jakąkolwiek możność zaszkodzenia.

A przecież fatalnie się przeliczył: Jamczyk sposób znalazł. I to poniekąd bardzo prosty: w przeddzień występu Fiejki najzupełniej świadomie utopił się.

Czyż trzeba dodawać, że z powodu pogrzebu wieczór autorski Fiejki musiano odwołać. Wypadało nawet, żeby i sam Fiejko szedł za trumną swego kolegi, co też bez specjalnego ociągania się uczynił.

Pogrzeb — zwłaszcza mowy Jamczyka, gdy tylko pierwsze wrażenie przeszło, wzbudził dość powszechny niesmak.

Ogół był zdania, że, owszem, konkurencja jest zjawiskiem tyleż pożądanym co i stymulującym, lecz tylko w tych wypadkach, gdy nie przekracza pewnych — mówiono — powszechnie dopuszczalnych granic.

Ale topić się w celach konkurencyjnych? Fi donc!

Gdyby wszyscy poeci polscy, hodujący niechęć do swoich kolegów po piórze, zechcieli pójść w ślady Jamczyka, już dawno nikt z nich nie zajmowałby miejsca w rejestrze żywych.

JERZY ZAJĄCZKOWSKI

Mój żywioł

Im więcej jest grand naokoło,
om więcej bliźnich mych kradnie,
tym bardziej jest mi wesoło,
tym lepiej na świecie i ładniej.

Ja wiem, że to aspołeczne
wiem, że tak mówić nie trzeba,
lecz piszę te słowa wsteczne
dla chleba panie, dla chleba.

Niestety doszło do tego,
(straszna jest losów kolej!)
że ja jedynie od złego,
jak złodziej, biorę swą dolę.

Dlatego radością dla mnie
fanatycznego cynika
jest, gdy się zbierze starannie
dobrana u żłobu klika

Istota ma jest szczęśliwa,
otwiera się bogów Olimp —
Ach, jak się wtedy wyżywam
na takiej klice dowoli.

A kiedy jeszcze się dowiem,
że klikę starannie zamknęli,
to czuję, że z frajdy na głowie
w niebiosach stają anieli.

To samo z dyplomatami.
Lubię, lubię okropnie,
gdy facet (bywa czasami)
idiotyzm jakiś gdzieć kropnie.

Życie nabiera uroku,
dusza ulata w błękity,
po serii fałszywych kroków,
które popełnił polityk.

Świat wtedy do mnie się śmieje,
dla mnie jest wiosna i kwiaty —
Jutrzenka sławy mi dnieje
i nowe się rodzą tematy.

Inni niech grają swe role,
robią kariery i draki —
Ja — wolę żyć w swym żywiole!
Cóż robić? Jestem już taki!



— Ile?
— Pięć lat.
— Za co?
— Obrabowałem bank. A ty?
— Pięć lat.
— Za co?
— Założyłem bank.



— Oskarżony za kradzież zegarka zostaje skazany na dwa lata więzienia.
— Ja zgóry przewidziałem wyrok, panie sędzio!
— Jakto?
— Na zegarku było napisane: gwarancja na dwa lata!



Rys. Władsław Daszkiewicz

— Co pan robi pod moim oknem, panie Zielonka?
— Staram się, jak mogę, bo miasto nie może!



— Co np. zrobić w takiej sytuacji gdy mąż zastaje cię z innym mężczyzną w pokoju?

— Proste. Przedstawić go jako dentystę, który ma ci wyrwać ząb.

— A gdyby mąż chciał być przy zabiegu?

— To trzeba ząb ofiarować.

— Dziękuję za radę. Po miesiącu nie miałabym ani jednego zęba...



— Czy zauważył pan, że głos mój wypełnił dosłownie całą salę koncertową?

— Owszem Publiczność nawet zaczęła wychodzić, aby było dla niego więcej miejsca.



Rys. Tadeusz Ulatowski

— Wczoraj na dancingu zemdlała jedna pani. jakiś facet wyjął portfel i zaczął ją wachlować.

— No, i co? Przyszła do siebie?

— Nie. Do niego...

MACIEJ SŁOMCZYŃSKI

Rozmyślania o przyszłości

Wszyscy rozmyślamy o przyszłości i wszyscy w mniejszym lub większym stopniu się nią zajmujemy. Nic w tym zresztą dziw-



nego, jeśli rozważymy, że mamy w niej spędzić resztę naszego żywota.

I dlatego człowiek się martwi.

I dlatego człowiek czyta gazety... i dlatego człowiek kłóci się z żoną. I dlatego człowiek nie myśli o tym, o czym powinien myśleć, a myśli o tym, o czym myśleć nie powinien i nie potrzebuje. — Bo co mnie właściwie obchodzą rozmowy ministra X z ministrem Z, albo zdanie Sir Johna Butershnita o rozwoju wypadków w Nikaragui? Człowiek przyzwoity nie wtrąca się do nieswoich spraw. Człowiek przyzwoity nie interesuje się cudzymi rozmowami

Ale przyzwoity człowiek czyta gazety i nic nie rozumie. W jednym miejscu globu ludzie rozbijają atom uranu, w drugim rozbijają sobie nawzajem głowy, w trzecim rozbijają się za formułą trwałego pokoju, ale nie mogą rozbić najbłahszych nawet uprzedzeń.

Proszę nie myśleć że chcę coś złeg opowiedzieć o wieku, w którym żyjemy. Uchowaj Boże! Skądże!

Mieliśmy przecież w ciągu niecałych czterdziestu siedmiu lat jego trwania aż dwa wieczyste pokoje! Jeżeli tak dalej pójdzie, będziemy ich mieli jeszcze kilka. Wszystko jest na jak najlepszej drodze. Pennicylina jest! Atomowe żyletki już są! Samochody mające tył z przodu już są! Wynalazki sypią się jeden po drugim. To też to, że najszybszy samolot



świata nazywa się „Vampir" — to głupstwo. Po prostu wypsknęła się taka nazwa. Zresztą nie o wampira tu chodzi. My w Polsce mamy lepszyc „Vampirów" jak oni w Anglii. Co prawda nie robią tysiąc kilometrów na godzinę, ale za to kilka tysięcy złotych na minutę a rozmnażają się prędzej od tamtych.

Ale nie o to chodzi. Chodzi o przyszłość.

W zeszłym tygodniu postanowiłem dowiedzieć się wszystkiego już tak napewno. Na mur! Na sto dwa!

Żona mnie namówiła. Sam zresztą nie broniłem sie bardzo. Człowiek jest ciekaw przyszłości. Wszyscy już tacy jesteśmy. Zawsze ciekawi nas przyszłość i przeszłość naszych znajomych.

U tej wróżki ludzi kupa. Wróżka przyzwoita kobietą (chociaż w szlafroku mężczyzn przyjmuje), jednym mówi tak, innym — inaczej.

I ma rację. Każdy powinien dowiedzieć się za swoje pieniądze tego, czego chce się dowiedzieć, i usłyszeć to, co chce usłyszeć.

Tym w krawatach wróżka mówi, że się niedługo zacznie. Tym bez krawatów, że się nie zacznie.

I wszyscy się cieszą i każdy odchodzi pocieszony i mówi, że to dobra wróżka.

Jedna stara kobiecina, a potrafi zadowolić jednocześnie robotnika i „Vampira".

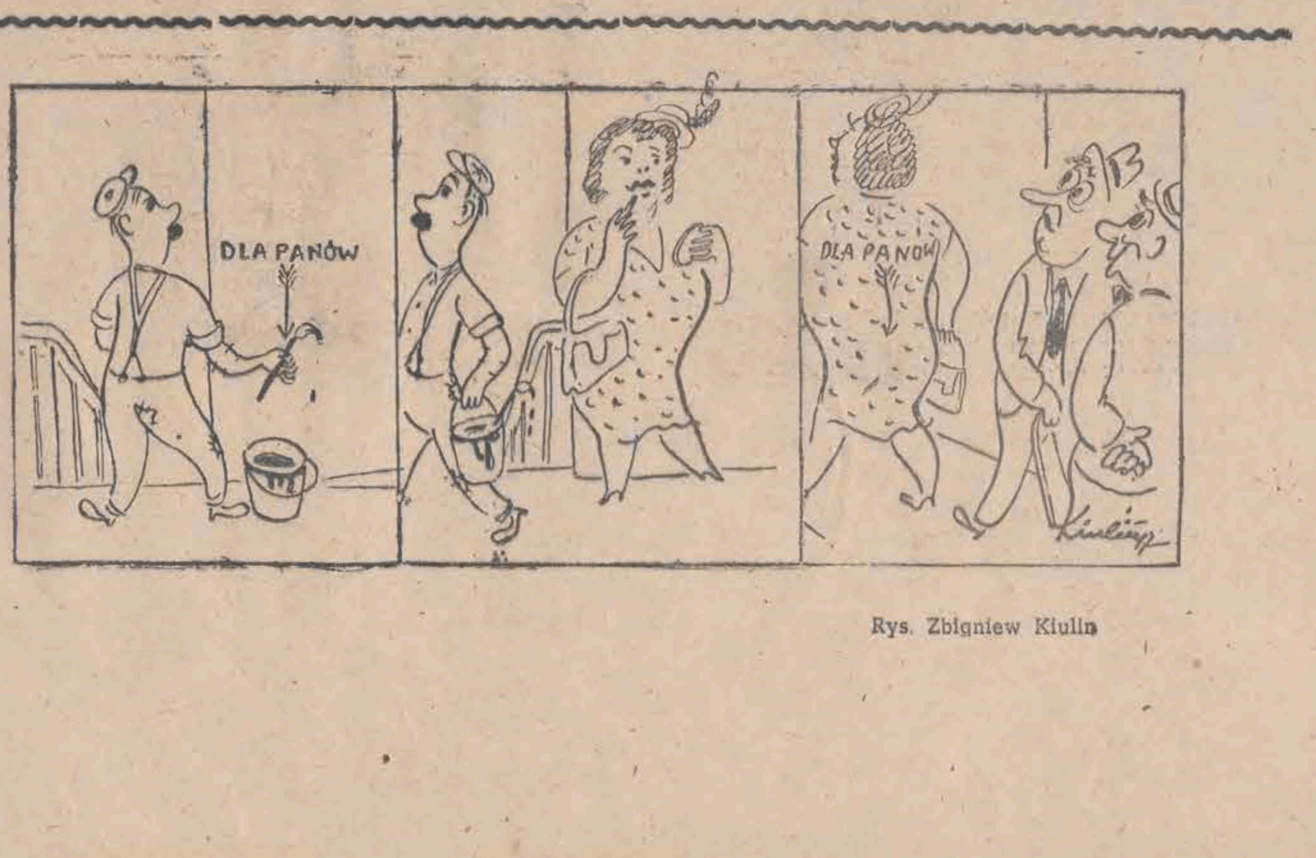
Posiedziałem, popatrzałem, poszedłem.

Idę sobie Piotrkowską i raźniej mi jakoś. Z tego wszystkiego wynika, że dla „Vampirów" będzie wojna, a dla ludzi pracy pokój...

Patrzę: stoją dwa „Vampiry". Skrzydła im opadły, nosy zwieszone na kwintę. Idę za ich wzrokiem. Uderzam oczami w mur Na murze afisz. Afisz proklamujący wojnę. Przyglądam się „Vampi-



rom", cmalcem i pionierom wojny. Nie cieszy ich wojna. Wszystko przez ten tytuł: „Wojna z Paskarstwem, Spekulacją i Lichwą".



Rys. Zbigniew Kiulin



Hochsztapler

— Jest to osobnik poniekąd szczęśliwy. Jeździ „Mercedesami", de facto uganiając tylko własnym „Perpedesem"; obraca milionami, chociaż ma w domu całego majątku tylko dziesięć złotych i kilkadziesiąt tysięcy długów. Przed wojną siedział za granicą, gdzie szalał, chociaż poza Polskę nie wyściubił nogi.

— Ach, te paryżanki! — mówił pstrykając palcami — to są kobity!

Hochsztapler, paląc cudze papiery, krzywi się, ponieważ zostawił w domu papierośnicę z angielskimi „Nawy Cut" — „Perłę" połyka ze wstrętem — ;;Ja piję tylko „Tatę z Mamą" — ale trudno. Skoro już nalane!

Na każde danie restauracyjne lub pensjonatowe krzywi nosem.
— Świństwo! — powiada — niema to jednak jak kuchnia domowa! — (a w domu wogóle żadnego nie posiada).

Nosi jedno ubranie, zresztą czyściutkie i doskonale skrojone, bo reszta jest u krawca w robocie!

W zimie biega wesoły i pogodny w przewiewnym frenchu, każdego znajomego zaczepia na ulicy, ażeby mu powiedzieć, że futro podbite lisami z kołnierzem z wydry jest właśnie na ukończeniu.

Odmian hochsztaplerów jest bardzo wiele. Najwięcej imponują im zwykle dobra materialne, ale jest również dużo hochsztaplerów na tle erotycznym. Ci opowiadają o swoich sukcesach miłosnych. Posiadali wszystkie co piękniejsze krakowianki lub łodzianki. Cóż Łódź nie jest znów takim wielkim miastem! — Podoba się ta mężateczka? — mówi do przyjaciela na dancingu — miałem z nią dziecko. A ta widzisz, ładna — prawda? To najbogatsza panna w mieście, chciała się koniecznie za mnie wydać, ale ja nie chciałem, bo ma uszy za wysoko osadzone. — Tamta blondynka też miła dziewuszka tylko strasznie gryzie, jak całuje.

Spotyko się również Rochstaplerów na tle własnej rodziny. Ci znów opowiadają cuda o majątku żony (niestety, zamrożonym), o zdolnościach własnych dzieci, z których tylko jedno jest jego roboty, itd.

Po wojnie namrożyło się wielu Hochsztaplerów na tle przeżyć wojennych. Ci zwykle kupują sobie mundurek angielski z napisem na ramieniu „Poland" i paradują w nim po mieście. Do tego noszą z fantazją na bakier nałożony beret baskijski.

Są również Hochsztaplerzy - literaci i Hochsztaplerzy - wydawcy. Hochsztapler - wydawca jest dla nas, literatów, typem może dodatniejszym od zwykłego uczciwego wydawcy, który po prostu mówi: Nie wydam! — bo przynajmniej daje nam kilka dni, podczas których żyjemy beztrosko, snując w marzeniach kosztowne futra i kosztownego własnego psa.

— Wszystko wydam, cokolwiek pan(i) napisze, niech pan(i) przyjdzie do mnie jutro do biura po zaliczkę — powiada z czarującym uśmiechem. — Znacie, o koledzy moi, tę piękną noc przed otrzymaniem zaliczki! Piękna ona jest, chociaż kosztowna, ponieważ z radości, że nazajutrz otrzymamy grubszą forsę, stawiamy wszystkim wódę na to conto, opowiadając z pobłażliwym (dla wydawców) uśmieszkiem, że takowi wprost się za nami rozbijają. Nazajutrz jednak i przez kilka następnych dni nie możemy zastać w biurze wydawcy — Hochsztaplera. Ich charakterystyczną cechą jest dematerializowanie się.

— To dziwne — mówią biurowi pracownicy, rozglądając się wokoło — był przed sekundą, może poszedł do magazynów — proszę chwileczkę zaczekać, przyjdzie zaraz napewno.

Na Hochsztaplera można jednak czekać tydzień, siedząc w jego biurze. Ma on w sobie coś z „Niewidzialnego Człowieka" Wellsa. Wystarczy odwrócić się na chwilę do okna albo przyjść do innego pokoju, ażeby ów człowiek niewidzialny wpadł, załatwił coś ważnego i znów wypadł.

— Jakto, nie widział go pan(i)? Przecież w tym momencie był tutaj! — mówią pracownicy.

Po kilkunastu dniach chodzenia i czyhania na pana Szefa dowiadujemy się nagle, że pan Szef, tak jak owa pokutująca dusza włócząca się nocą po parku, jęczy: „Papieru! Papieru!" — Nie ma papieru — powiada swobodnie jakgdyby nigdy nic, gdy do nie jakgdyby nigdy nic, gdy go nareszcie przyłapiesz w kawiarni — ale zaliczkę mogę panu dać, to przecież taki drobiazg!

Wyciąga portfel, w który spoglądasz jak sroka w kość, — Zaraz — powiada — nie mam przy sobie, chociaż mi się zdawało, że mam. Prosze,, niech pan(i) zgłosi się do mnie jutro do biura, forsa będzie dla pana przygotowana.

Nazajutrz, czywiście, forsy nie ma, są zato panienki z czubami jak wieża Eiffel, które na słowo: pieniądze — wybałuszają oczy, jakgdyby to było nieznane im cudzoziemskie słowo.

Ponieważ Hochsztapler posiada tysiące apetytów, więc ma również apetyt na „bycie" dżentelmenem, który od kobiet nigdy pieniędzy nie pożycza. Żeby zaspokoić ich zachcianki, pożycza zato pieniądze na „prawdziwe damy" od swoich naiwnych przyjaciół. Ma również apetyt na gest i czasem własnej żonie robi kosztowne prezenty, opowiadając jej, że właśnie zrobił świetny interes (to znaczy, znów kogoś zdołał naciągnąć na pożyczkę).

Kobiet-Hochsztaplerek, jest stosunkowo mniej. — Zamało mają na to fantazji.

Magdalena Samozwaniec

EDMUND WALIGÓRSKI

RÓŻE

Urzędnk był w Jeleniej Górze,
Który namiętnie lubił róże.
Wszystko mu jedno: mała, duża,
Ładna, czy brzydka — byle róża.
Więc przede wszystkim rano w biurze
Uwodził sekretarkę Różę.
(Ta panna była rodem z Wilna,
Na ogół była mu przychylna).
W knajpce wypijał piwo duże
I patrzał na kelnerkę Różę,
Poczym kupował „Bałtyk" w kiosku
U Róży o cudownym nosku.
Wieczorem z żoną szedł do „Róży";
Gdzie występował śpiewak murzyn.
(„Róża" — kawiarnia dosyć duża;
Tylko ma wejście od podwórza).
Wieczorem zaś w kawiarni tej
Tancerka pewna wiodła rej:
Jej temperament był jak burza,
A imię — (oczywiście) — Róża.
Po tańcach raczył żonę ciastem
I szedł do domu o dwunastej.
W domu pyjamę wdziewał na noc,
Całował żonę na dobranoc
I ledwo w pościel się zanurzył,
Zaczynał śnić o innej róży.

Tak między biurem a rodziną
Czas mu beztrosko mile płynął,
Lecz, jak z historii tej wynika,
Los nie oszczędził urzędnika:
Kiedyś wąchając kwiaty czyjeś,
Ukłuł się kolcem róży w szyję.
Nic mu nie pomógł i sulfamid -
Na wieki rozstał się z różami.
Nad grobem władze powiatowe
Przepiękną wygłosiły mowę
Na trumnę czyjeś dobre ręce
Złożyły z róż splecione wieńce,
W końcu nagrobek piękny wznieśli
Z napisem takiej oto treści:
„Tu leży X. miłośnik róż;
Wędrówkę ziemską skończył już.
On jeden poznał róży czar:
Dla róży żył — od róży zmarł"



Rys. Zbigniew Kiulin

Pasek-pękł!



Rys. Kazimierz Grus

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

Meble na raty

Przeczytałem w gazecie, że na ul. Żeromskiego jest jakaś Centala Handlowa, gdzie meble sprzedają na raty dla ludzi pracy. Potrzebuję, niestety, mebli; a tam mogę dostać na raty. Prawdziwe dobrodziejstwa dla pracownika społecznego. Wybrałem się zaraz i przeglądam meble.

Zrzedła mi mina, bo mebelki szpetne. Przykro coś takiego wstawiać do pokoju. No, ale za to na raty. Pytam się, jak z tymi ratami.

— Na raty teraz nie sprzedajemy. Wstrzymane. Tylko za gotówkę!

E, to na nic. Chcę się dowiedzieć o cenę, może o połowę tańsze jak gdzieindziej, będzie można chyba coś nabyć. Ale nikt z miejscowych nie zwracał uwagi na moje pytania. Złapałem wreszcie pomocnika magazyniera i ten podał mi kilka cen. Całkiem straciłem humor.

— Przecież w każdym prywatnym składzie tyle samo kosztuje. — zauważyłem.

— Jak pan nie chce, niech pan nie kupuje — oświadczył pomocnik magazyniera.

Poszperałem po magazynie, coś tam wybrałem sobie, wyrażam chęć kupienia.

— Dzisiaj już nic nie załatwiamy, bo pierwsza.

— No, to co, że pierwsza?

— To to, że nic już nie załatwiamy. Tylko do pierwszej.

— A po południu?

— Po południu też nie. Tylko do pierwszej.

— A w biurach to do trzeciej.

— To niech pan idzie do biura.

Słusznie powiedział. Trzeba było przyjść na drugi dzień. A to dosyć nawet daleko, na końcu Żeromskiego. Przyszedłem, wyszukałem znowu te krzesełka, bo mi już je schowali. Odesłano mnie do kierownika. Kierownik powiedział półgębkiem, że nie wie, co to są za krzesła. Odesłał mnie z powrotem do magazyniera. Magazynier powiedział, że nie ma teraz czasu dla interesantów. Odszukałem pomocnika magazyniera. Przeglądamy krzesełka. Na niektórych napisane, o ile się nie mylę, nade in Kanada. Nie mam do tego zaufania. Wyszukujemy inne, idziemy do kierownika, pomocnik magazyniera podaje nazwę, kierownik szuka w wykazach, wreszcie podaje mi cenę 6000 zł., ale jeśli jestem człowiekiem pracy, to 5.000 zł. — Jestem człowiek'em pracy — powiadam i pokazuję legitymację. — To nie wystarcza — powiada mi półgębkiem kierownik — musi być osobne zaświadczenie.

Przez chwilę waham się, czy by nie zapłacić jak człowiek niepracujący, drugi raz tu już jestem, czasu tyle straciłem, ale diabeł mi podszepnął skorzystać z przysługujących mi praw. Ostatecznie tysiąc złotych nie chodzi piechotą.

Ano, wziąłem zaświadczenie i trzeciego dnia rano znowu tu przychodzę. Odszukałem moje mebelki, bo już je schowali, i idę do kierownika. Kierownik skierował mnie do swojego pomocnika, pomocnik kierownika wypisał asygnatę i odesłał mnie do buchalterki naprzeciw. Musiałem długo czekać, bo buchalterka obliczała asygnatę jakiegoś obywatela, który kupował meble na raty. Szczęśliwiec. Mebli innym ludziom nie sprzedają na raty, a ten kupuje na raty.

Nareszcie przyszła moja kolej. Buchalterka obliczyła asygnatę i wypisała szereg papierków wraz z rachunkiem i odsyła mnie do dyrektora. Bardzo mnie niemile zdziwił ten rachunek 9.500 zł.

— Pani się pomyliła, bo ma być 5.000 zł. — prostuję.

— Nie, nie pomyliłam się. Kosztuje 9.500 zł

Wracam do kierownika, tłumaczę, że obliczył mi wczoraj dokładnie 5 tysięcy, a gdy przychodzę do płacenia to od razu dwa razy tyle.

— Jak pan nie chce niech pan nie kupuje — odpowiada mi kierownik półgębkiem.

Z rachunkiem ma się iść do dyrektora. Dyrektor poznaczył wszystkie pap'erki, przy sposobności tłumaczę mu, że wczoraj podawano mi inną cenę.

— Jak pan nie chce, niech pan nie kupuje — uśm'echa się dyrektor jowialnie.

Rezygnuję wobec tego z połowy mebelków, buchalterka wypisuje mi nowy rachunek, znowu do dyrektora, a od dyrektora do kasjerki. A tam bez końca załatwia swoją sprawę ten pan, który dostał meble na raty. Poczciwie sobie wygląda ten jegomość, ale bardzo mnie irytuje, bo nie dość że dostaje na raty (mimo że nie sprzedają innym na raty), ale jeszcze muszę przez niego wszędz'e czekać. Wreszcie zapłaciłem pięć „kawałków" za połowę tego co miałem dostać wczoraj, i idę do magazyniera. Ale magazynier nie miał czasu dla interesantów.

— Nie dość, że dwa razy tyle zapłaciłem, jeszcze muszę godzinami wyczekiwać! rozzłościłem się.

— To nie jest dwa razy tyle, tylko głup'e cztery i pół tysiąca więcej. A zresztą jak pan nie chce, niech pan nie kupuje — warknął magazynier.

Nareszcie koło południa zdecydował się wydać polecenie pomocnikowi aby mi wydał krzesełka. Jak na trzydniową, uciążliwą transakcję to stanowczo za mało.

Na ulicy spotkałem znajomego. Dlaczego tylko ja mam korzystać z dobrodziejstw kupowania „mebli na raty", niech i on skorzysta.

— Może pan potrzebuje meble?

— Jeszcze jak. Wiadomo, wszystko się straciło. A co, czy może ma pan jakieś tanie źródło?

— Nadzwyczajne. Mebelki jak cacka, tanie jak barszcz, grzecznie pana tam załatwią, żadnej biurokracji, może pan sobie tylko wybrać i zawieść do domu. Tylko tyle, ile panu zacenią, zapłaci pan. A co najważniejsze — na raty.

Znajomy przyjrzał mi się bystro, potem niechęć ukazała się na jego obliczu.

— Ja tam byłem, proszę pana — odpowiedział mi zimno.

Wzruszyłem ramionami.

— Trudno, jak pan nie chce, niech pan nie kupuje.



Rys. Kazimierz Grus



Rys. STANISŁAW CIELOCH

EROS i PSYCHE

„Rózgi" ukazują się co tydzień REDAKTOR: Stefan Stefański — REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 86 — telefon 254-..
Przyjmuje się codziennie od 12-ej do 14-ej. Wydaje „Łódzki Instytut Wydawniczy", Żwirki 17, tel. 206-42 D-015952